

Bo wszyscy inni są szczęśliwi

Marcin Meller

Happy now? to taka wesoła, a momentami niezwykle komiczna sztuka, po której człowiek dochodzi do wniosku, że strach się żenić, mieć dzieci, być hetero, być gejem, być w związku, być samotnym, strach w ogóle żyć. Już w kalifacie byłoby łatwiej. No sama radość.

Jest taki dowcip z pokaźną brodą, ale niezwykle zacny, pełen tak zwanej mądrości życiowej. Do zakładu jubilerskiego w Antwerpii wchodzi prężnym krokiem elegancko ubrany mężczyzna, wyciąga zza pazuchy olbrzymi diament, kładzie go na ladę i prosi o przecięcie na pół. Właściciel sklepu, stary Żyd, spogląda z podziwem na kamień, kręci głową i mówi:

- Nie da się.

- Jak się nie da? – dziwi się klient. – Jest pan najlepszym jubilerem w mieście i mówi mi pan, że się nie da? Dlaczego?

- Bo jest ryzyko graniczące z pewnością – tłumaczy starozakonny – że w trakcie cięcia kamień pęknie i ulegnie zniszczeniu. Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności.

Klient upiera się, że bierze ryzyko i odpowiedzialność na siebie. W końcu stary Żyd wzdycha i woła w kierunku zaplecza:

- Moryc, chodź no tu! - przybiega ryży młokos – Masz tu ten diament i przetnij go panu na pół.

Chłopak niewiele się zastanawiając, kładzie kamień na stole, rach, ciach i jest przecięty. Oddaje go szefowi, a ten klientowi, który nic nie rozumiejąc patrzy się z wytrzeszczonymi oczami.

- To pan, mistrz w swym fachu tłumaczył mi, że się nie da, a ten chłopczyna zrobił to w trymiga?

Stary Żyd westchnął.

- Ale on nie wiedział, że się nie da.

Przypomniała mi się ta anegdota, gdy czytałem tekst sztuki *Happy now?* brytyjskiej dramatopisarki Lucindy Coxon. Bo pomyślałem, że jeśli chodzi o nasze życia, te zwyczajne, dzień po dniu, pozbawione rewolucji i wstrząsów życia mieszczan początków XXI wieku, to prawie wszyscy jesteśmy po trochu takimi nieświadomymi młodymi Morycami.

No cóż, gnamy w amoku przez życie w tych swoich miastach, walczymy w korporacjach, firmach, kancelariach, fundacjach, NGO-sach, użeramy się z szefami, podwładnymi, kolegami z roboty, wszyscy mają od nas więcej pieniędzy albo czasu, albo o zgrozo jednego lub drugiego. Rodzimy dzieci, staramy się je jak najlepiej wychować, a przynajmniej marzymy, żeby się widowiskowo nie stoczyły, licząc ile jeszcze cholernego kredytu zostało do spłacenia. I w tym pędzie nie za bardzo zastanawiamy się, jak wygląda to nasze życie. Bo tu jest, jak jest, a na pewno nie ma czasu na refleksję.

Aż przychodzi taka pani Lucinda Coxon, mądra jak stary Żyd z Antwerpii, w dodatku błyskotliwa i ze świetnym słuchem do dialogów i podstawia nam lustro. Cóż, że rzecz dotyczy londyńczyków. W tej historii świetnie odnajdywali się nowojorczyki i jestem pewien, że pośmieją się, pokrzywią warszawiacy.

Jest coś w tej sztuce z atmosfery *Boga Mordu* Yasminy Rezy, zekranizowanej przez Romana Polańskiego jako *Rzeź*, choć bez owej żądy mordy, bez skrajnej psychodramy. Bo *Happy now?* w precyzyjnie zjadliwy sposób pokazuje, że nie trzeba szukać trzęsienia ziemi i mocnych historii w egzotycznych sceneriach, patologicznych środowiskach, wśród ekscentrycznych i potarganych przez życie bohaterów. Nie.

Oto bowiem ryczące mieszczaństwo, ludzie koło czterdziestki, stosując kategorie z kolorowych pism dla pań – ludzie sukcesu, zapewne obiekt zazdrości większości społeczeństwa. Główna bohaterka, Kitty, pracuje z powodzeniem – w tym finansowym - w fundacji zajmującej się badaniami nad rakiem, jej mąż odszedł z kancelarii prawnej, bo chciał mieć więcej czasu dla rodziny i uczy teraz w szkole, wychowują dwójkę dzieci, przy kolacji prowadzą uroczym surrealizm *small-talki* z przyjaciółmi, ich małżeństwo, niby bardzo sympatyczne i zdrowe, poważnie kuleje. Kitty, jak wiele nowoczesnych zachodnich mieszczyk, żyje pod presją oczekiwań doskonałości: uważa, że ma być perfekcyjna na każdym polu. Jako kobieta, pracownica, matka. I pewnie nawet do końca nie wie, skąd się bierze to jej przekonanie i może nawet sama nie wie o tym przekonaniu. Ale tak jest. I w którymś momencie staje bezradna przed ścianą i rzuca: „Czy to jest moje życie? Jedno jedyne, jakie mam? Ten pieprzony chaos nieudomówień, niedopowiedzeń, żali i niechęci?”.

I te słowa mógłby wypowiedzieć każdy z pozostałych bohaterów i pewnie niejednym spośród widzów. Nie, nie ma żadnego dramatu, dzieciom nic się nie stało, mąż kocha, a jednak, jak to śpiewała kiedyś Edyta Geppert, człowiek czuje się tak, „że czasem tylko sięść i płakać.” Albo zrobić coś głupiego.

I wydaje się, że życie jest gdzie indziej. Choć tak naprawdę go nie ma. Bo choćbyśmy uciekli w Beskid Niski paść owce lub na Zanzibar kontemplować zachody słońca, to od tego życia, o którym opowiada Lucinda Coxon, nie uciekniemy. Tyle że, kurczę, nikt nie opowiadał w folderach o przyszłym wspaniałym życiu, że będzie ciężko, bo musi być ciężko, bo na tym polega życie. Zwłaszcza jak się wkracza w wiek średni. OK, dzisiejsi czterdziestolatkowie to wczorajsi trzydziestolatkowie, żaden wiek średni, ale wiecie, o czym mówię, prawda?

A jeszcze zewsząd Kitty i my jesteśmy bombardowani tymi, nie wiadomo przez jakich popaprańców pisanymi, opowiastkami o obowiązkowym szukaniu i przeżywaniu szczęścia, tak jakby wszyscy wokół byli przedszkolakami po przedawkowaniu cukru. Ale przecież nawet przedszkolaki mają czasem doła.

A na fejsie same roześmiane gęby i wszystkim wszystko się udaje i wszyscy wiodą swoje cudowne, atrakcyjne, zupełnie nienudne życia. Nic tylko się pochłastać. Ale lepiej popatrzeć na coś dużo bardziej realnego niż czary mary ze społecznościowych portali, czyli na *Happy now?*. Bo Lucinda Coxon nie przesadza w żadną ze stron. Może i lustro, jakie nam podstawia, jest miejscami krzywe, ale nie patologicznie. Dialogi cięte i błyskotliwe, ale nie przeszarżowane, a komizm wysmakowany, jak choćby kiedy dorosta, poważna kobieta, czuje się nagle jak nastolatka w krainie czarów, bo znów musi użerać się z surrealistycznymi obsesjami swej matki, która jak nikt w kosmosie potrafi wyprowadzić ją z równowagi i nic z tym nie może zrobić, nijak uciec, ani wyzwolić się od roli, w którą wrzuciło ją przewrotnie złośliwe życie.

Na jednym z rysunków Andrzeja Mleczki ponętna i suto wyposażona pani mówi: „Posiadam również duszę”. Stateczni mieszczanie, czy jakkolwiek ich nazwiemy, z *Happy now?* mogliby wywiesić transparent z napisem: „Mamy swoje problemy!”. I mają też fuksa, bo ich kłopoty opisuje ktoś tak zręczny, spostrzegawczy i obdarzony poczuciem humoru, jak Lucinda Coxon.